LEON SOBOCIŃSKI

Za politykę!

WYDAWNICTWO WL LUDOWE 1947

ZA

POLITYKĘ

Nr 398 – GRAFICZNA SPÓŁDZIELNIA PRACY „GROCHÓW" – B-13613

LITERACKA BIBLIOTEKA LUDOWA

TOM 1

LEON SOBOCIŃSKI

ZA POLITYKĘ

WYDAWNICTWO LUDOWE
WARSZAWA ROK 1947

SPIS RZECZY

OKŁADKĘ PROJEKTOWAŁ
KONSTANTY DANKO

ZA POLITYKĘ

I

Kwieki była to sobie zwykła wioska. Niczym szczególnym nie wyróżniała się spośród tylu innych mało osobliwych osiedli kaszubskich, rzuconych na zapadłe ubocze Tucholskich Borów.

Zacisznie tu było zawsze i głucho. Germanizacja nigdy nie miała do Borowiaków łatwego dostępu.

Polskość zastygła tu jak bursztyn i jak bursztyn była twarda.

I gdyby nie codzienny nad Kwiekami warkot samolotów, nikt, ani chybi, w tej pustoszy nie wiedziałby, że na świecie rozlega się ponury łoskot wojny.

— Szczęśliwa wieś — mawiali ludzie z wiosek, nękanych obławami, rekwizycjami.

Do Kwiek — po tym grząskim piasku, po tych wykrotach, wertepach i moczarach — nie chciało się żandarmom po prostu fatygować.

Czy warto dla tych kilku dziadowskich, skurczonych, jak od reumatyzmu, chałup, o słomianych dachach, pełnych zielonych liszajów mchu narosłego od starości?

I żandarmi zawracali, machając rękami.

Może w tej ich niechęci do Kwiek taiła się jeszcze głębsza przyczyna. Wieś, położona w takim odludziu, obwarowana trzęsawiskami, mogła kryć w sobie niespodzianki, które odwagę rycerzy Hitlera wystawiłyby na próbę.

Szczęśliwa wieś! Okazuje się, że bieda nieraz daje w pewnych warunkach pewne przywileje.

Sąsiedzi Pawła Koneczki skorzystali z koniunktury i przystąpili do masowej produkcji samogonu.

Ten samogon pili także żandarmi, nie znając pochodzenia marki fabrycznej.

Ubodzy mieszkańcy Kwiek poczęli obrastać dobrobytem.

Ale nie tylko domowa rektyfikacja szła tu wszystkimi turbozespołami gospodarczego pomysłu. Rozwijał się też całą parą potajemny ubój. Kwieki zaopatrywały w mięso bliższą i dalszą okolicę.

Tu odbywał się handel, zamiana kolczyków u świń, podstawianie prosiąt pod kolczykowane maciory, stemplowanie mięsa, słowem mały sabotaż gospodarczy.

Paweł Koneczka przestrzegał:

— Zaś mówię wam, pierony, że to się ale źle może skończyć.

— Będzie, co będzie, na razie jest, jak jest — odpowiadali sąsiedzi — mamy walutę, rozpijamy szwabów, dożywiamy ludzi, a wy co macie? Cykorię!

I rezoluty pokpiwały z niedołęgi, jednocześnie dziwując się, że chłop z taką smykałką prześlepia okazję.

Bo to i ciesielkę potrafi, i roboty murarskie mu nie obce, i ślusarka mu znajoma, buty zrobi na podziwienie, w książkach nauczały...

— Ale co ma z tego? Taki sposobny!

Nawet żona, młoda, tęga blondyna, o ruchach żwawych, energicznych, niekiedy do tych głosów dorzucała swoje spostrzeżenia:

— Mógłbyś przecie pomyśleć o czymś lepszym. Co z twojej majsterki? Zębują z ciebie i tyle.

Narządzisz im maszyny, poradzisz jak zacier zaczynić, starą Kłobukową nauczyłeś mydło robić, a sam nic ino majstrujesz przy tym pudle jakieś latarki, lampki, sznury i w politykę się bawisz.

Oj, taka polityka może się niedobrze skończyć.

Pamiętaj, że nie jesteśmy sami, za kilka miesięcy będę się już spodziewała...

Koneczkowie byli młodym małżeństwem, zaledwie w rok po ślubie.

Zdatne to było stadło — jak powszechnie w parafii oceniono.

— Taki związek — mawiała pochlebnie wdzięczna Kłobukowa, bo i ona dzięki Koneczce dobrze wychodziła na mydle — to się tak prędko nie rozsupła, mocno ich ksiądz stułą związał.

— Pewnie, że mocno — przywtórzyła karpiata Chwastowa, dodając przesądnie: — tak zamaszyście, że aż świeca po lewej stronie ołtarza zgasła.

— Ja zaraz mówiła, że to cośki niedobra wróżba.

— Et, nie brawędzilibyśta po próżnicy — mitygowała Kłobukowa. — Jeśli takiemu stadłu Pan Bóg nie będzie sprzyjał, to każde jedne diabła warte.

I, przekręciwszy głowę na bok, splunęła: — Na psa urok!

II

Paweł Koneczka na strychu obory, która była zarazem i stajnią dla konia, słuchał radia.

Nie słuchał egoistycznie. O, nie! Tę pożywkę, tę dobrą nowinę niósł w najbliższą niedzielę czy święto do pobliskich wiosek, do zaufanych i wtajemniczonych krewnych, przyjaciół.

Te dobre nowiny, przenoszone z życzliwych ust do łaknących uszu, skracały co roku wojnę, od wiosny do lata, od lata do jesieni, do zimy... w nieskończoność nadziei.

A wojna dopiero, że się prawie rozpalała.

Był rok 1940 i zima stała twarda.

I jak ten mróz była ta nadzieja.

Dziwna ta nadzieja. Kłamie, nieraz w służbie prawdy. Prawdą bowiem tego serdecznego kłamstwa było, że wielu ludzi nie przeżyłoby bez tego narkotyku sześcioletniej męki.

Paweł Koneczka był kolporterem tego błogosławionego kłamstwa; dzielił się wiadomościami jak opłatkiem.

Czynił to nie z jakiegoś wyrachowania, ot z wewnętrznej potrzeby.

Był może nawet i próżny. Imponowało mu, że on wszystko wie, a inni dopiero od niego czegoś się dowiadują.

W strasznych przeżyciach narodu głód wiadomości jest równy brakowi chleba: Koneczka był dobroczyńcą, on ten głód uciszał.

To był apostoł dobrej nowiny.

Jako apostoł musiał zginąć.

I zginął.

Przypadek bywa nie tylko szczęśliwy, mądry, głupi, bywa też i okrutny.

* * *

Gestapowcom wydała się sprawa szczególnie podejrzana, gdy wpadli na ślad wielkiego przemytu rąbanki.

Zaczęli węszyć, tropić, śledzić.

Czułą ich piętą była troska o wielki stan świńskiego pogłowia i mały stan potajemnych radioodbiorników.

Szczęśliwe Kwieki, w których dotychczas nie postała noga gestapowca, przestały być szczęśliwe.

Pewnej, iskrzącej się gwiazdami, jasnej, ale mroźnej nocy zimowej, wzmocniony oddział esesmanów osaczył pomorski rezerwat gospodarczego sabotażu.

Urządzono rewizję tak znienacka, że nawet psy zziębnięte w budach, zazwyczaj sprzymierzeńcy buntowniczego podziemia, nie zdążyły szczekaniem dać w porę sygnału.

Koneczkę żandarmi zaskoczyli przy radioodbiorniku na strychu.

Zbitego na miazgę, raczej już ludzki łachman, aniżeli człowieczą postać, rzucono na wóz i powleczono do więzienia.

Tajnego uboju nie dało się wykryć, gdyż szczęśliwym trafem wszystko już rozeszło się między ludzi.

Wykryto tylko kilka bimbrowni, ale przemarznięci na kość żandarmi, zasmakowawszy w gatunkowości wyrobów, dali się łatwo przekupić całą cysterną wyskokowej produkcji, legionem gęsi, kaczek, kopami jaj i, o dziwo, udali, że nie widzą, gdy na odjezdnym sołtys przyniósł im do bryczki wór z połciem słoniny.

W rezultacie obławy nikogo z wioski, oprócz Koneczki, nie aresztowano.

W kilka dni przyjechano po Koneczkową.

Sąsiedzi zachodzili w głowę, co by to mogło być, bowiem nikt nie podejrzewał, ażeby Koneczka tak był przemyślny, że aż sam sobie zmajstruje radioodbiornik i że słuchał radia.

O tej tajemnicy wiedział on i jego żona.

Domyślano się tylko, że jego niedzielne pielgrzymki w teren miały pewnikiem związek z jakimś podziemiem.

Bo skądby Koneczka tyle wiedział.

Aż raz, najbliższy sąsiad Koneczki, rudy Ciamara, któregoś dnia sprawę, jak mu się zdawało, wyjaśnił:

— Nie wiecie, za co rozwalili Koneczkę?

— A skąd? Za co?

— Za co? Za politykę!

III

Stutthof, pod Gdańskiem, był centralną katownią dla Polski Zachodniej.

Jeśliby wliczyć do tej centrali jej filie obozów koncentracyjnych, rozsiane po całym Pomorzu Wschodnim i Zachodnim, jak Dziemiany, Brusy, Działdowo, Potulice i wiele, wiele innych — tedy Stutthof, pod względem tak zakresu celów i zadań, jak i organizacji zbiorowego mordu, pobiłby wszelki rekord wszystkich krwawych i okrutnych instytucji ludzkości.

A z zewnątrz niewinnie, łagodnie, prawie przytulnie wyglądał.

Wśród kwiatów, użyźnianych kompostem z kości popalonych ludzi, w pogodnej, białej willi, na słonecznym wzgórzu, rezydował komendant obozu, „krwawy pies“ — jak go więźniowie nazywali— władca życia i śmierci milionowej rzeszy straceńców.

Samo zetknięcie się z tym „krwawym psem“ było już dla nieszczęśliwego przepowiednią wyroku śmierci. Spojrzenie tego zwierza zatrzymywało oddech całych kolumn robotniczych.

— Nalot, nalot! Krwawy pies!

Ten szept z ust do ust podawany, jak komunikat śmierci, przenikał kości i ciało niby kłujący prąd elektryczny i paraliżował każdy uśmiech, każde słowo, każdy swobodniejszy ruch.

Obóz Stutthof, oprócz znanej na cały cywilizowany świat fabryki mydła pod Gdańskiem, używającej do fabrykacji ludzkiego surowca, prowadził także na Pomorzu wielkie roboty budowlane dla wojska.

W Dziemianach, przeinaczonych na Sophienwalde, w potwornym obozie koncentracyjnym, położonym w urodziwej miejscowości pod Chojnicami, „krwawy pies" ze Stutthofu budował na gigantyczną miarę zakrojone koszary, składy amunicji, żywności, domy, domki, wszystkie jednakowe, pod sznurek, wszystkie pod czerwoną śpiczastą dachówką.

Pomyślane to było jako miasto-koszary, zamaskowane w Tucholskich Borach, bezpieczne od nieprzyjacielskich nalotów.

Setki i tysiące więźniów oraz jeńców ze wszystkich krajów Europy składało tu swój pot, traciło zdrowie, rozstawało się z życiem, ażeby Niemcom zbudować zwycięstwo.

Obóz w Dziemianach był poniekąd przekrojem narodowościowym kontynentu europejskiego.

W tym właśnie obozie, w barakach dla kobiet, osadzono Koneczkową.

Od śmierci uratowało ją to, że spodziewała się przyjścia na świat dziecka, przy czym, jako Pomorzanka, znająca język niemiecki, wyparła się, że o niczym nie wiedziała, bo mąż miał radio na strychu obory, a ona ciężarna przecież leźć po drabinie nie może; zresztą polityka ją tak obchodzi, jak zeszłoroczny śnieg itd.

Słowem, łgała umiejętnie, ale i z godnością. Raz tylko powołała się na to, że w zeszłym miesiącu dała większy kontyngent jaj dla armii aniżeli była zobowiązana, co znów nie było prawdą.

Koneczkowa chciała żyć, ażeby żyło jej dziecko.

Trybunał sądzący, ferując wyrok, zgodził się wobec tylu okoliczności łagodzących na darowanie jej życia i skazał ją na obóz koncentracyjny.

Tak więc Koneczkowa trafiła do Dziemian, bo podówczas obóz ten wciąż alarmował swą centralę zapotrzebowaniem na ludzi.

Gwałtowne snadź musiało być to zapotrzebowanie, kiedy nawet wszystkie Żydówki ze ścisłego odosobnienia w Stutthofie przysłano do Sophienwalde na roboty.

Koneczkowa w tydzień czasu po swym przybyciu do obozu porodziła.

Dziwowały się więźniarki, że tak dobrze wyglądała, że tak była nieznaczna, że już na drugi dzień wstała do roboty, jak gdyby nigdy nic.

Przyjście na świat dziecka w baraku stało się sensacją nie tylko dnia, ale całych tygodni i miesięcy.

Nowiny o stanie jego zdrowia przechodziły z baraku do baraku kobiecego, przedostawały się także poprzez naelektryzowane druty do baraków męskich.

Co więcej, Anglicy, Francuzi, jeńcy sowieccy, Grecy, Jugosłowianie, Belgowie, prawie wszystka Europa już wie o małym Wojtku Koneczce, urodzonym w obozie koncentracyjnym.

Lekarz obozowy, dr Zieliński z Raciąża, który w pasiakach musiał odbywać „wolną" praktykę pod przymusem za drutami, orzekł jako znany specjalista-akuszer, że taki noworodek — to fenomen.

Wojtek bowiem ważył zaraz po urodzeniu przeszło 4 kilo żywej wagi.

Jednostajne życie lagru nabrało sensacyjnego zabarwienia przez zjawienie się na świat najmłodszego współwięźnia.

Był on już autochtonem obozu koncentracyjnego.

Osobliwy to był więzień, bowiem karę odbywał przed wina.

IV

Koneczkowa dzielnie wytrzymywała ciężar więźniarki i obowiązek matki.

Walnie w tym pomagało jej żelazne zdrowie.

Zresztą o dziecko na równi z matką, a może nawet więcej niż ona, troszczyły się współtowarzyszki niedoli, zamieszkałe z Koneczkową w tym samym baraku.

Były nawet dumne z tej roli. O malcu wyrażały się nie inaczej tylko: nasz Wojtek.

— Cicho, baby, Wojtek śpi!

— Jak ty go trzymasz, niedołęgo — podwiń kołderkę, bo mu nóżki zmarzną — strofowały i pouczały jedna drugą.

— Koneczkowa, dajcie mi go, ja go ponoszę, wyście są strudzone! — napraszały się jedna przez drugą.

A wszystkie one były zemdlone samym codziennym kilkukilometrowym marszem: w zimie po śniegu, latem po piasku w skwarze, omdlałe i łaknące jadła.

Wojtek już po roku chodził jak stary.

Co to była za uciecha dla tych kobiet niewyżytych w macierzyństwie.

Rozmowa o Wojtku pochłaniała więźniarkom wiele czasu.

— Jaki mądry, jakie zdarzone dziecko! Co z niego wyrośnie, jak Pan Bóg da nam i jemu przeżyć? — interesowały się losem malca.

— Nasz Wojtuś nie miał wczoraj żołądka — martwiła się któraś z więźniarek, opowiadając przy robocie współtowarzyszce szczegóły z jego zachowania się.

— Chłopak bardzo mnie lubi — proszę was — wczoraj zawołał do mnie lala, a... a... a...! Zawsze na mnie woła „lala". Gdym do niego w te pędy pobiegła, to ptaszyna zaczął trzepotać rączkami i nóżkami, śmiać się i szczebiotać: — Baba, lala — a... a... khiii... hkiii... Taki mądry. Śmiał się, bo już było po wszystkim, spóźniłam się. Alem go obtarła, zawinęła w pieluszki, że i matka lepiej by nie zrobiła.

Wojtek ani podejrzewał, że jest takim obiektem powszechnego zainteresowania.

Więzień Wojtek Koneczka chował się zdrowo, pieszczony, obcałowywany, karmiony, chuchany, cackany.

Więzień ten nie tęsknił za wolnością, bo jej nie znał.

Nie miał numeru i nie nosił pasiaków. Takiego rozmiaru pasiaków nawet pedanteria niemiecka nie przewidziała.

Mijały miesiące i lata.

Wojtek biegał w kubraku, w porciętach przerobionych po jakimś spalonym w krematorium nieboszczyku.

Mimo bowiem ścisłej izolacji handel różnymi towarami poprzez druty kwitł w najlepsze.

Monetą obiegową był tytoń i chleb. Te dwa środki płatnicze miały lepszy kurs, aniżeli złoto czy dolary.

Trzy bochenki chleba i garść tytoniu odpowiadały nieraz wartości złotej obrączki.

Zjawienie się Wojtka Koneczki w tej nowej, umęczonej rzeczypospolitej europejskiej, jakim był Stutthof, wymianę międzynarodową znacznie ułatwiło i ożywiło.

Wojtek był bezinteresownym maklerem w tej wymianie.

Korzystał z wielkiej swobody. Chodził sobie poza druty, na szosę, od baraku do baraku, z wyjątkiem baraków dla Żydówek, dokąd mu chodzić surowo zabroniono.

Dostał nawet kilka klapsów od matki, bo ją kapo przestrzegał.

Wojtek z uporem rozbałamuconego dziecka kręcił się w pobliżu drutów żydowskich baraków, właśnie dlatego, że nie wolno.

— Jakto, jemu nie wolno? — rozmyślał w swej główce.

A matka zaniepokojona mówiła do więźniarek:

— Dycht, wykapany ojciec, w sobie zawzięty. Mówiłam mu, że zgubi siebie i mnie, i dziecko.

— A za co zginął? — pytały.

— Za politykę! — rzekła, ściszając głos.

Wojtek był jak gąbka, wchłaniał wszystko w siebie oczami i uszami, chciwymi świata i spraw jego.

Miał prawie lat pięć, a wyglądał bodaj na siedem.

O ojcu tyle wiedział, że jest u Bozi, a ponieważ Bozia jest wszędzie, więc go kiedyś spotka.

Tylko w tym brzydkim obozie u tego „krwawego psa" Bozi nie ma. Bozia tu nie chce mieszkać.

Matka zachodziła w głowę, co by to mogło być, że chłopaka ciągnie tak do tych żydowskich baraków.

— Nie dziwcie się, Koneczkowa — odpowiadała na to więźniarka Staniszewska, sąsiadka z prawej strony pryczy, przecie dziecko wychowane bez dzieci, to mu i markotno wśród dorosłych, a tam są dzieci żydowskie. Dziecko tęskni do towarzystwa dzieci, tak jak dorosły do towarzystwa dorosłych.

— Juści, że tak jest — przez sen potwierdziła Kuligowska, śpiąca nad Staniszewską i Koneczkową.

— Śpijcie już! Dobranoc, bo chłopcu spać nie dajecie — odezwał się czyjś zduszony głos spod okna.

— Dobranoc!

— Dobranoc!

I błogosławiony sen dobrej nocy spłynął kojąco na przekleństwo złego dnia.

Jutro z rana, jeszcze ciemno, spłoszy go chrapliwy pogłos kapo: — Aufstehen! Aufstehen!

V

Dokuczliwość zimy na Kaszubach potęgują przykre wiatry od Bałtyku.

Pookrywani kocami, szczękając zębami, całe kolumny więźniów wypędzone przed baraki czekały, klnąc, na poranny apel.

Wreszcie odmarsz wśród zawiei, po sypkim śniegu.

Ostry wiatr przenikał kości mieszkańców tego upiornego osiedla.

W baraku żydowskim dwoje dzieci zasnęło z zimna na śmierć.

— Nie mają tam czym pieca rozpalić — podawały sobie wiadomości z ubiegłego dnia maszerując do pracy widma w łachmanach.

Nadszedł stamtąd i gryps: — Zmiłujcie się, nie mamy zapałek! Przyślijcie!

Wojtek o tym wiedział, bo przy nim ten gryps czytano.

Zresztą wczoraj mała Salcia Goldmanówna prosiła go o to, co w grypsie napisano.

Wojtek nie namyślając się pobiegł do kuchni, zaczął się kręcić koło kucharza i, upatrzywszy odpowiednią chwilę, zwędził pudełko.

Już raz prosił kucharza o zapałki, ale ten zbył go żartem:

— Co, chciałbyś nas tu z dymem puścić?

I rzeczywiście nie dał.

Ale Wojtek postawił na swoim.

Wojtek zapałki „zorganizował".

Salcia będzie zadowolona. Wojtek lubi bardzo, jak jego towarzyszka niedoli dziękuje mu z uśmiechem na wymizerowanej twarzyczce za cukierek, to za kawałek chleba, bądź za szczyptę tytoniu dla swej „Mutti“, która wciąż choruje.

Wojtkowi niczego właściwie nie potrzeba. Jest pieszczonym jedynakiem obozu. Gdy mu czego brak, przekrada się do obozu Anglików i wraca z czekoladą, sucharkami. Nawet tytoń przynosi i rozdaje więźniom.

Imponuje mu, gdy go starsi zaczepiają, pytając:

— Wojtuś, masz co zafajczyć?

— Mam, a zrobisz mi sanki?

— Zrobię!

I Wojtuś miał sanki, mógł ich mieć kilkanaście, bo czego więzień-palacz nie zrobi dla papierosa.

Nawet jeńcy sowieccy, którym zdarzało się być w kuchni z transportem węgla czy drzewa, znali z tej strony Wojtka i zaczepiali go:

— Pan, Wojtek, daj zakurić?

Wojtek był pojęty, dużo rozumiał co do niego mówili Anglicy, Holendrzy, a po niemiecku wcale nieźle łapał nawet całe zdania.

Mieszkańcy obozu przepadali za Wojtkiem. Wydał się wszystkim posłańcem aniołów.

Wojtek wybiera się do Salci. Musi to zrobić ostrożnie, żeby go wachmani pilnujący baraków żydowskich nie zobaczyli.

Pójdzie więc nie od strony szosy, gdzie znajduje się wejście frontowe, ani od bocznej strony, tylko od prawego narożnika, najmniej strzeżonego, zwłaszcza w porze obiadowej, gdy dozorcy schodzą na obiad.

Wojtek w swej roztropnej, małej główce wszystko dobrze wykalkulował, nie mógł tylko przewidzieć, że właśnie akurat w tym samym czasie, gdy będzie wręczał małej Salci zapałki, ukaże się znienacka na zakręcie leśnego traktu „krwawy pies“ Stutthofu.

Wojtek, zajęty swoją misją, nie słyszał, ani nie mógł dojrzeć bezgłośnie przesuwających się sań.

Bo zwyczajem „krwawego psa“ było wpadać wszędzie raptem, milczkiem.

Ale Salcia, wyostrzonym instynktem zaszczutego dziecka, dojrzała niebezpieczeństwo i, chwyciwszy zapałki, zdążyła ostrzec:

— Wojtek! Nalot! Krwawy pies!

Wojtkowi nie trzeba było dwa razy powtarzać.

Kto był „krwawym psem“, dobrze wiedział.

Spryciarz jednym susem skoczył do pobliskiego rowu po pas w śnieg i stulił się jak zajączek, zatrzymując dech w piersiach.

O jakie pięć, sześć kroków od jego kryjówki sanki prześlizgnęły się prawie cichcem. Było to szczęście Wojtka.

Malec nie prędko podniósł główkę. Gdy zdawało mu się, że to trwa już wieczność, wydobył się z trudem z zaspy śnieżnej i chyłkiem, krawędzią lasu, pobiegł z triumfem do baraku.

VI

Była to ostatnia zima Wojtkowej niewoli.

„Krwawy pies“ przyjechał do Dziemian, ażeby zarządzić stopniową ewakuację obozu.

Od wschodu, północy i południa posuwała się zwycięska Armia Czerwona, w przymierzu z polskimi sztandarami, pod wodzą marszałka Rokossowskiego i umęczonym po obozach więźniom przyniosła wybawienie.

W Dziemianach radość. Porwano druty, rozwalono bramę. Powiało wolnością. Wczorajsi dręczyciele wyją o litość.

Choć stała jeszcze zima, ale pachniało już wiosną, najpiękniejszą chyba z wszystkich wiosen.

Przed barakami ustawili się jeńcy, więźniowie.

Ma przybyć sam marszałek Rokossowski, ażeby dokonać inspekcji i uwięzionym tu ludom oznajmić, że już są wolni.

Wojtek w swoich drewniakach biega od baraku do baraku, wszędzie obcałowywany, rozchwytywany, podnoszony do góry.

Marszałek dojrzał tego osobliwego więźnia.

Przyprowadzono go przed jego oblicze.

— Jak się nazywasz? — pada życzliwe pytanie marszałka.

Malec, patrząc prosto w oczy pytającemu i salutując, rzecze rezolutnie: — Wojtek!

— Nu, a za co ty tu popadł, towarzysz, a? — śmiejąc się indaguje marszałek, na co Wojtek z nieoczekiwaną powagą:

— Za politykę!

Marszałek Rokossowski podniósł chłopca z ziemi i, całując go w główkę, udekorował małego więźnia za jego politykę orderem wielkiej tabliczki czekolady.

ROZSZUMIAŁY SIĘ WIERZBY PŁACZĄCE...

Jeden z moich przyjaciół, którego dawno, bardzo dawno nie widziałem, zaproponował mi pójście na kawę.

— Wiesz — powiada do mnie — mam ochotę pogawędzić. Wiem, że pracujesz w literaturze, więc chciałbym ci podsunąć temat. Ja, jak ci wiadomo, nie potrafię tak, żeby było zdatne do czytania, zresztą nie mam czasu.

— No chodź!

Dałem się skusić i na kawę i... na ten przyobiecany temat.

Kto wie, może coś ciekawego, może co z tego będzie. Ludzie dziś tyle przeżyli, tak świat poznali, że każdy mógłby pisać a pisać.

Mój przyjaciel zaczął rzecz od poczęstowania mnie papierosem, a gdy się zaciągnął sam potężnym łykiem dymu, w te odzywa się słowa:

— Niestety, muszę cię uprzedzić, że w tej historii i ja osobiście biorę udział, wprawdzie nie jako jeden z czołowych bohaterów, ale jako postać drugo- a może i trzecioplanowa.

W każdym razie w historię tę jestem wplątany i to tak ściśle, że w grę wchodziło samo moje istnienie, a przecież nie były to moje dzieje, ale dwojga młodych ludzi, prawie jeszcze dzieci.

Ona mogła mieć lat 16, on nie więcej niż 18. Znałem ich oboje od bardzo dawna.

Była okupacja. Zośka śliczna, średniego wzrostu szatynka, dziewczyna rozwinięta, pełna temperamentu, rzuciła się całą swą bujną naturą w sam odmęt walki konspiracyjnej. Brawura tej dziewczyny graniczyła z szaleństwem.

Jako kurierce polecano jej najbardziej niebezpieczne i odpowiedzialne zadania.

Miała nadzwyczajne szczęście, z każdej opresji wychodziła cało. Miała też szczęście i do chłopców.

Zygmunt, chłopak jak sosna, brunet, jeden z tych typów, które nie uwodząc, uwodzą kobiety, był raczej cichym, spokojnym osobnikiem, w sobie zamkniętym, ale stanowczym, zdecydowanym, co było dziwne przy jego prawie dziewczęcej wrażliwości.

Razem pracowali w podziemiu.

Kochali się, jak łatwo odgadnąć. Nie wiadomo tylko, czy miłość pogłębiła pracę dla sprawy, czy sama sprawa pogłębiła uczucie tych dwojga istot.

Poświęcili się ojczyźnie. To było u nich takie naturalne, proste, bezfrazesowe.

— Zośka, jak cię jutro złapią — to pamiętaj, ja tego nie przeżyję, oszczędzaj się, bo jesteś czasem rozwichrzona — napominał.

A ona, śmiejąc się klawiaturą swych lśniących zębów, rozchylała usta, może nieco zbyt szerokie, ale prawidłowo umodelowane, i przekomarzała się:

— To myślisz, że ja przeżyję, gdy mnie gestapo złapie? — a zwracając się do mnie:

— Wujciu, czy to nie baba z tego Zygmunta?

Nie wtrącałem się w te ich zabawne sprzeczki. Oczywiście zalecałem rozwagę, ale młodość nie potrzebuje rozjemców: pokłóci się, rozejdzie, zbliży się i w tej miłosnej burzy zawiera się nieraz cały urok słońca miłości, które silniej potem grzeje.

Każda sprzeczka przy mnie kończyła się już poza mną—gdzieś w drugim pokoju, odgłosem pocałunków.

W mojej obecności raczej udawali, że im miłość nie grozi.

Ale ja wiedziałem, że dziewczyna chłopaka pożera oczami, zwłaszcza zapatrzona w niego wtedy, gdy swym aksamitnym barytonem zacznie nucić jedną ze swych ulubionych partyzanckich pieśni:

Rozszumiały się wierzby płaczące,
Rozpłakała się dziewczyna w głos —
Od łez oczy podniosła błyszczące,
Na żołnierski, na twardy życia los!

Chłopak był bardzo zdolny, sierota, szedł o własnych siłach.

Było im z sobą dobrze. Kochali się pewnó już od dzieciństwa, bo właściwie cała ich ta miłość była tak dziecięca.

Rodzice Zosi prawie go wychowali, w przezornej rachubie, że to może być kiedyś szczęśliwa i dobrana para.

I jak nie patronować takiej przyszłości, gdy dzieci czują ku sobie skłonność, gdy od maleństwa uczą się poznawać siebie?

— No i co dalej? — pytam stopniowo zaintrygowany opowieścią?

— Co dalej? Poczekaj.

Opowiadający łyknął z filiżanki, zakrztusił się papierosem, odkaszlnął i mówi:

— Wybuchło powstanie.

— Zginęli?

— Nie, ale posłuchaj cierpliwie i nie mąć mi wątku opowieści.

Zośkę na początku powstania w czasie obławy schwytano i dziewczyna przeszła całą kalwarię i rozpacz obozów koncentracyjnych.

O Zygmuncie słuch zaginął.

Wojna się skończyła i dziewczyna jest w domu.

Ale to już nie była ta dawniejsza Zośka. Nastąpił w niej jakiś psychiczny przełom.

Cierpienie może wywyższyć człowieka, ale może także i pogrążyć.

Dziewczyna, ku rozpaczy swych rodziców, zapragnęła żyć innym, ułatwionym życiem, z całym jego migotliwym blaskiem.

Atmosfera powojenna sprzyja takiemu rozluźnieniu.

A szelmutka była urodna, a przy urodzie młodość, a przy młodości nierozwaga.

Chciała błyszczeć luksusem półświatka.

Zakochał się w niej, czy też wziął ją sobie za przyjaciółkę, jakiś ciemny moralnie typ, przystojny nawet młody mężczyzna, dobrze wypchany krajowymi i zagranicznymi dewizami.

Starczyło na wszelkie Zośki kaprysy.

Mój przyjaciel zachłysnął się atakiem kaszlu, z czego skorzystałem, mówiąc:

— Możesz nie kończyć, wiem dalej co będzie, zwykły melodramat albo i dramat: Zygmunt się zjawi, będzie może jakieś przebaczenie albo jakiś strzał, samobójstwo, pojedynek itp. To już wszystko było, to są rzeczy znane z kina, dzieje smutne, prawdziwe często i opisywane w gazetach, w kronikach urzędów śledczych; nie zgaduję tylko jednego — jaka w tym wszystkim twoja rola, bo jak dotychczas jesteś, mój przyjacielu, tylko zwykłym kibicem wydarzeń, ot, jak kelner, który nam podaje kawę, lub chłopiec, który sprzedaje mi w tej chwili gazetę.

Przyjaciel mój zdjął rogowe okulary, wytarł je chusteczką, popatrzył na mnie z miną jakby urażoną, po czym zaczął z lekką ironią:

— Podziwiam twą przenikliwość. Tak jest. Zygmunt wrócił o kuli, ale z sercem niezmienionym.

Kochał ją, jak dawniej, a może głębiej. Na pewno głębiej.

Swego szczęśliwego rywala nie znał, ale już wiedział o wszystkim ze szczegółami.

Radził się mnie, co robić. Opowiedział mi cały swój życiowy epos. W partyzantce został postrzelony w nogę.

Cóż mogłem poradzić? Miałem dla niego dużo serca. Ale serce to tylko współczucie.

Tłumaczyłem dziewczynie. Milczała. Gdym brał to za wahanie i ponawiałem szturm, dziewczyna przerwała mi:

— Wujciu, żal mi go mocno.

Gdy dziewczyna mówi, że jej żal chłopca, to już właściwie nie ma mowy o miłości.

Tak już jest, że się kocha kogoś dla siebie, a nie dla niego, i na to nie ma rady, choćby nie wiem jak usta przysięgały.

Nawet w najszczytniejszej miłości, bo matki do swego dziecka, jest bardzo wielki odsetek miłości własnej.

Kocham twoje piękno, bo się nim sam nasycam. Dla twego kalectwa mogę mieć współczucie połączone z poświęceniem.

Ale to już będzie w miłości Czerwony Krzyż. To będzie wzniosłe, szlachetne, wielkie nawet, wszakże nie zastąpi nawet małej miłości, odrobiny serca.

Serce jest słońcem o wielu promieniach, z których nie każdy grzeje.

Przyjaciel mój spostrzegł się, że zaczynam ukradkiem spoglądać na zegarek, więc z wyżyn filozofii miłości przechodzi do opisu samego faktu:

I chłopiec się załamał. Rozpił się. Ogromnie się rozpił. Cóż chcecie, bohaterstwo dlatego jest tak piękne, że jest tak rzadkie. Nikt jeszcze nie był całe życie niezłomny.

I mój Zygmunt znalazł się nad otchłanią.

— Już kończę — obserwując mnie — prawi mój przyjaciel.

Otóż któregoś dnia siedzę w wagonie pociągu pospiesznego na głównym dworcu. Przyszedłem nieco późno i zastałem już miejsca zajęte. W tym przedziale jechali... zgadnij kto — moja Zośka ze swoim adoratorem.

Dziewczyna widząc mnie, nieco się zmieszała, lecz odkłoniła się z wymuszonym uśmiechem. Adorator jej pogrążony był w gazetach. Ja usiadłem na walizce w korytarzu pociągu i też biorę się do czytania.

Z takiego przypadkowego zetknięcia się nie byłem zadowolony, ale cóż robić, w innych przedziałach jeszcze ciaśniej.

Nie wszystkie przypadki są miłe. Ale ten, który miał za chwilę nastąpić, był chyba najmniej pociągający.

W pewnej chwili drgnąłem — ciągnie dalej mój przyjaciel — a potem znieruchomiałem.

Bo oto z sąsiedniego przedziału doszedł do mych uszu tak dobrze mi znajomy głos:

„Rozszumiały się wierzby płaczące...“

Spojrzałem w stronę Zośki. Uniknęła mego wzroku, kryjąc się za gazetę. I ją przeszły dreszcze.

Ja nie wiedziałem, gdzie się podziać. Cofnąłem się w głąb korytarza, jak tylko miejsce na to pozwalało.

Do naszego przedziału zbliżył się Zygmunt, o kuli, jeszcze w ubraniu na pół wojskowym.

Leciało od niego alkoholem i słowami pieśni:

„Rozszumiały się wierzby...“

I raptem, jakby ktoś uciął. Zygmunt zauważył dziewczynę.

W tym wagonie tylko nas troje było aktorami cichego dramatu.

Publiczność urzeczona śpiewem, hojnie obdarowywała śpiewaka, prosząc, by dalej śpiewał.

Ale Zygmunt stał pobladły, skamieniały i milczał.

A wtem, dotychczas obojętnie zachowujący się adorator Zośki, rzucił włóczędze wraz z banknotem uszczypliwy komentarz:

— Udają partyzantów, psia krew, szumowiny! Pewno tę nogę postrzelono mu przy kradzieży węgla.

Nie wiem, czy Zygmunt słyszał obelgę. Stał blady i bez słowa, kusztykając, powlókł się ku wyjściu.

Za nim wybiegła Zośka jak szalona. Adorator po prostu zgłupiał i nic nie rozumiał z tego wszystkiego.

Pociąg ruszył, zanim zdążyłem również uświadomić sobie co zaszło. Ja się jednak ruszyć z miejsca nie mogłem. Przeczuwałem tragedię. Po kilku sekundach jazdy pociąg nagle stanął.

Wybiegłem na peron jak wariat przed lokomotywę.

— Co się stało, że pociąg stanął? Czy przejechał kogo? — pytam nerwowo maszynistę, a ten, spojrzawszy na mnie z góry, mruknął coś w rodzaju: — Pomyleniec!

Miałem przeczucie czegoś okropnego.

Zanim zdążyłem ochłonąć, semafor poszedł do góry. Pociąg ruszył, ja przy swej tuszy nie zdążyłem wskoczyć. Zostałem.

No i zostałem dlatego przy życiu.

Pociąg numer 2782, jak donosiła nazajutrz prasa, uległ katastrofie.

Adorator Zośki zginął. Wagon został zgruchotany.

— A co z Zośką, co z Zygmuntem? — pytam.

— Nie mogę zaspokoić twej ciekawości, nie wiem.

Musiałbym już zmyślać, a życie samo stwarza sytuacje, które i dla filozofów są dziwne.

Wszystko to już na świecie było, prawda, a przecież wszystko jest takie wciąż inne.

Bo powiedz, co my właściwie wiemy o życiu?

SZABER

I

Na drugim torze pierwszego peronu dworca szczecińskiego stał długi szereg szaro-czerwonych pudeł wagonów towarowych, mających za chwilę spełnić rolę pociągu osobowego.

Choć do odejścia pociągu jeszcze huk czasu, wagony były już zagęszczone pasażerami tak ściśle, że, jak to się mówi, szpilki wetknąć niesposób.

Kto siedział na swym tłumoku, walizie, ten był przedmiotem zazdrosnych uwag tych, którym daleką podróż w stronę Poznania czy Warszawy wypadało odbyć na stojąco.

— O ta, to się rozsiadła na tej walizie jak kwoka na jajach. Niech się pani posunie!

— Gdzie się mam posunąć? — żachnęła się zaczepiona niewiasta i nie ruszyła się z miejsca.

— Musi ładny wiezie szaber, że takie kufrzysko z sobą ciągnie. Na bagaż, pani, trzeba to dać.

— Sam się pan oddaj na bagaż, a mnie pan daj spokój!

I właścicielka wielkiej, ciężkiej walizy, ukrywszy twarz w dłoniach, zapadła, zda się, w głębokie zapomnienie czasu, miejsca, ludzi.

Kiedy niekiedy głębokie westchnienie wyrwie się z jej piersi i opadnie ciężarem, jak kamień.

Przeżuwała w sobie jakąś rozpacz czy żal, jakąś żrącą boleść, bo raz po raz szloch wstrząsał jej piersią.

Kobiecina nie była stara. Raczej jeszcze młoda, zdrowa, ale pracą już zniszczona. Ot, zwyczajne życie kobiety wiejskiej, zaganianej latem na roli, zimą po domowym obejściu, wstającej najwcześniej i kładącej się spać najpóźniej.

Mogła mieć lat 25, wyglądała na trzydzieści kilka, postarzały ją przedwczesne zmarszczki pod oczami.

Takie snadź pomarszczone było całe życie tej kobiety, jak wielu innych jej podobnych, unurzanych w pracy na roli.

Była osadniczką spod Szczecina.

Pytania: dokąd jedzie — zbywała niechęcią. W ogóle nie chciała rozmawiać. Zamknęła się w sobie i nie brała udziału w powszechnej, wagonowej paplaninie, która tak znakomicie skraca czas podróży.

To zamknięcie się w sobie nie przysporzyło jej sympatii przygodnej pasażerskiej społeczności.

Wzbudzała sobą niezaspokojoną ciekawość, zwłaszcza ta jej waliza.

— Jakiś lepszy szaber! — komentował okiem znawcy ten i ów z szabrujących, choć żaden, oczywiście, do tego procederu się nie przyznał.

Każdy jechał do matki czy babki, do ojca lub ciotki i wiózł albo rzeczy podarowane, lub komuś wiózł z grzeczności od dzieci dla rodziców, od rodziców dla dzieci, w ogóle kręty - węty.

Cały wagon wypchany był tobołkami, walizkami, skrzynkami, które dopiero wypróżniano na bazarach miast po całej Polsce.

— Już powinien ruszać?

— Która godzina?

— Za dziesięć minut odjazd — sprawdzano czas, pytano się, informowano.

Na peronie zrobiło się już pusto.

Jeszcze kolejarz z młoteczkiem przebiega od wagonu do wagonu i stuka nim po kołach, wygrywając jak na cymbałkach czy butelkach tylko jego fachowemu uchu znajomą melodię.

Kontrola wypada pomyślnie.

Wagony drgnęły.

— O, podstawili już parowóz!

— Panie szefie, jedziemy?

— Jedziemy — potwierdza dyżurny ruchu, który ukazał się właśnie na peronie w czerwonej czapce i machnąwszy, niby dyrygent, pałeczką — rzucił krótko: Odjazd!

Stęknęła lokomotywa, gwizdnęła przeciągle, poruszyły się jej koła, ciachając przestrzeń, jak sieczkarnia słomę, i coraz szybciej, szybciej czarny masyw żelaza kadłubem swym wbija się w gąszcz ciemnej, jesiennej nocy, wyrzucając z komina kudłate kędziory dymów i garście iskier, podobnych do fruwających gwiazd.

Na dworze chwytał siarczysty ziąb.

— Psi czas! — ktoś w szarym kącie określił aurę.

— I psa żal wygnać w taką flagę! — pisnął jakiś litościwy głosik.

W wagonie było tłoczno, ciemno i duszno.

Ten i ów się zdrzemnął, inny drasnął zapałkę i zakurzył papierosa. Rozmowa się zmęczyła, tylko nudne gadanie kół nie ustawało.

Wreszcie na którejś stacji pociąg zatrzymał się dłuższy czas.

Musiał dać drogę pociągowi pospiesznemu.

W wagonie znów się poruszyło. A co, dlaczego? Jak długo jeszcze?

Pasażerowie zaczęli się niecierpliwić i, jak w takich razach bywa, wygadywali na porządki.

Krytyka jest drugą człowieka naturą.

Ciekawi powychodzili na peron, bo ciekawość przezwycięży trud, niepogodę.

— Może co się stało?

— Może jakaś katastrofa? — szły domysły.

Niektórzy poszli na dworzec ogrzać się czymś ciepłym.

Tajemnicza pasażerka poczuła nagle, że jest głodna. Od przedwczoraj nic w ustach nie miała.

Zdawszy walizę na opiekę sąsiadów, siedzących z prawej i lewej strony, wyskoczyła na chwilę do bufetu, odległego o krótki pacierz drogi od wagonu.

Wróciła w samą porę. Kurier właśnie nadjechał z przeciwległej strony i zdążał z opóźnieniem do Szczecina.

Wróciła i... nie zastała ani walizy, ani sąsiadów, których opiece swoją rzecz poleciła.

Noc była bezgwiezdna i zapłakana deszczem.

Nieszczęśliwej pociemniało w oczach:

— Moja waliza, moja waliza! — wyrzuciła z piersi przeraźliwy lament.

Za późny już alarm. Pociągi ruszały każdy w swoją stronę.

II

W tym samym prawie czasie, gdy dwaj złodzieje w słodkiej nadziei obfitego połowu, wysiedli z kuriera na jednej ze stacji, ażeby podzielić się zdobyczą i w tym celu ukryli się za bramą pobliskiego cmentarza, poszkodowana stała na posterunku milicji obywatelskiej i pytana przez protokulanta, takie składała zeznania.

— Nazwisko?

— Stanisława Wójcik.

— Lat?

— 27.

— Urodzona?

— Wieś Różęcin, powiatu rzeszowskiego.

Opowiedzcie, tylko krótko, jak to było, jak wyglądali ci sąsiedzi?

— Ciemno było, nie przyglądałam się, jeden był szczuplejszy i wyższy, drugi przysadzisty, ale dobrze nie widziałam.

— Co było w tej walizce?

— Nic nie było.

— Jakto nic i taki podnieśliście krzyk, jakby tam było jakie złoto, drogocenne kosztowności?

Zakłopotana kobieta milczy i szlocha.

— No, mówcie, co było — nalega protokołujący milicjant. Nie wypuścimy was prędzej, aż nam nie powiecie, coście w tej walizie wieźli?

Kobiecina drżąc, cała w strachu, wśród łkań i zawodzeń wyrzuciła nagle z siebie swą rozpacz i tajemnicę:

— Dziecko!

— ?!?

— Powiedziałam, dziecko moje!

Z dalszych, z trudem wydobytych od rozpaczającej niewiasty zeznań wynikło, że repatriantka miała zamiar swe zmarłe dwuletnie dziecko przewieźć w nielegalny sposób na cmentarz, gdzie spoczywają jej ojce, dziadki, przy kościołku w starych lipach i kasztanach, hen tam, w Rzeszowskiem.

Wiozła cichcem w walizie, ażeby nie robić sobie kosztów i uniknąć formalności.

Z mężem tak uradziła.

Teraz wielce skruszona widzi, że Woli Bożej w poprzek iść nie można.

Wróci tam, gdzie jej dziecko świat ujrzało.

— Ale gdzie, na którym cmentarzu pochowane będzie jej dziecko?

Biedna matka nie wie i tajemnica dla niej będzie zakryta.

Bo ziemia zabiera, ale i daje. Takie jej niepisane prawo.

BÓBER I ŻUBER

I

Bóber i Żuber przyjechali razem do jednego obozu pracy pod Chojnicami. Oczywiście nie przyjechali z własnej woli.

Jak właściwie nazywali się z domu, nikogo to w obozie nie interesowało. Tak ich nazywała ulica. Rymowały im się te przezwiska, jak również i lata.

Wspólnie mogli mieć 26 — najwyżej 28 wiosen. Łączyła ich dojrzała przyjaźń.

Bóber mały, krępy, o ruchliwych, niespokojnych oczach, wyszczekany pętak, Żuber poważny i ponad swój wiek rozrośnięty w plecach cwaniak.

Bóber miał gęstą, spadającą na szeroko sklepione czoło czuprynę, Żuber zaczesywał włosy na tył głowy.

A kolor włosów obydwu był podejrzany, z uwagi na uporczywie przeprowadzany bojkot mydła.

Nie można powiedzieć, żeby się w obozie nie myli wcale. Owszem myli się. Symbolicznie, pod pompą, ale to tylko wtedy, gdy im się zachciewało żartów.

Sport mycia się uprawiali więcej dla zabawy, niż z powodu poważnych wymogów higieny społecznej.

Ten sport pod pompą odbywał się przy kranie w ten sposób, że to jeden to drugi, na wyprzódki, zatykając palcem otwór kranu, puszczał znienacka przyjacielowi w twarz gwałtowny strumień wody.

Potem obcierali się i obrzucali obelgami, które jednak nie obrażały. Ale wodę kochali bardzo. Na wolności, latem, całymi

dniami baraszkowali nad Wisłą, przecinając ją w poprzek z prawej na lewą stronę Warszawy.

Wisła była ich żywiołem i Wisła o mały włos ich nie zgubiła. Uszli z łapanki, urządzonej przez Niemców na plaży przy moście Poniatowskiego, tylko dzięki temu, że zdołali pyrgnąć jak szczupaki w wodę.

I tyle było ich widać. W czasie wolnym od lenistwa plażowego zajmowali się gorliwie pracą.

Żuber utrzymywał matkę, ojca już nie miał, Bóber był zupełnym sierotą, lecz solidarnie się do gospodarstwa domowego dokładał, bo matka Żubra była mu jak matka. Żyli podczas okupacji z małego sabotażu.

Bóber, jako obrotniejszy, był inicjatorem pomysłowych wypadów, Żuber, silniejszy, przyjmował na siebie rolę pikiety. Stanowił zawsze zasłonę odwrotu.

Bóber cienkim głosem gwizdał, włożywszy dwa palce w usta, niczym świstak policyjny. Żuber swoim altem naśladował ryk syreny, zwiastujący nalot, a czynił to z tak ponurym złudzeniem, że przechodnie na ulicy pośpiesznie chowali się do bram.

Ten rodzaj produkcji artystycznej oczywiście nie wywoływał wśród publiczności entuzjazmu. Kilka razy, zamiast oklasków, chłopak dostał po łbie.

Razu jednego Bóber z ciężarówki niemieckiej zwędził rower. Zanim się ociężały szofer zorientował, że mu coś zginęło, rower był już przez Żubra „opylony" na Targówku.

Żuber miał większy talent do handlu, Bóber zaś do przemysłu. Przemyśliwał bowiem nad tym, co by tu jeszcze Niemcom ściągnąć.

Po udałej operacji z rowerem chełpił się, że uprowadzi Niemcom ciężarówkę, na co bardziej zrównoważony Żuber stuknął przyjaciela palcem w czoło, co oznaczało: „nie wygłupiaj się!".

Warszawę kochali, ale nade wszystko — Targówek.

Żuber był Targówkiem urzeczony; dowodził Bóbrowi w czasie długich nocy zimowych, gdy obaj leżeli w barakach na pryczy, że gdyby powstanie warszawskie zaczęło się na Targówku, na pewno by się udało.

Bóber ani myślał być innego zdania.

Gdy branża przemysłowo-handlowa im coś nie dopisała, bo i po rąbankę niekiedy wyrywali się do Platerowa, zaczęli szukać stałej posady. Sprzedaż „Nowego Kuriera Warszawskiego" traktowali jako zatrudnienie hańbiące.

Nie poszli na współpracę z okupantem.

W domu już było bardzo krucho, a z wydawnictwem podziemnym jeszcze się nie zetknęli.

Szukali kontaktu z podziemiem.

Wraz z gromadą podobnych im rówieśników byli sabotażowym legionem ulicy.

Pewnej soboty wybiegli w jasny, biały dzień na Targową, przed dworzec Wileński i, wykrzykując, wtykali ludziom do rąk nadzwyczajny dodatek „Nowego Kuriera Warszawskiego".

Ale nie był to „Nowy Kurier" z Marszałkowskiej. To był falsyfikat z drukarni Polski Podziemnej.

Ludzie kupowali, a zorientowawszy się, co jest, spiesznie z gazetką biegli do domu zaspokoić swą ciekawość, podziwiając brawurę naszej Piątej Kolumny.

Jeden jak i drugi żałowali, że prasa podziemna nie wypuszcza takich dodatków przynajmniej co tydzień. Powodzenie było siarczyste. I po sto złotych płacono za egzemplarz.

Ponieważ gestapo na drugi dzień poznało się na tym kawale, Bóber i Żuber musieli się kryć przez pewien czas, no i zmienić rodzaj zatrudnienia.

Zaczęli więc pracować na kolei. Wprawdzie nie byli tam przyjęci przez Arbeitsamt, niemniej przecież pracowali... z zapałem.

Posada ta była tyleż dochodowa, co i ryzykowna; może nawet więcej ryzykowna niż dochodowa. Ale trzeba żyć.

Krótko mówiąc, ściągali z wagonów węgiel, a „opędzlowawszy" go, kupowali do domu żywność.

Wszędzie było ich pełno. Przed chwilą widziałeś ich na Ząbkowskiej i nagle sfruwali na Wileńską, jak te wróble. Na dworcu Wschodnim, na bazarze gromadził się ruchliwy legion ulicy. Mieli swoje sprawy. Dochodziło często do nieporozumień, stąd krzyki, bójki, ale jedno słowo: Żuber — ostudzało kłótliwe stado.

Żuber był na Targówku wśród tego legionu prawie dyktatorem. Trzeba mu jednak na dobre zapisać, że swej siły ani władzy nie nadużywał.

Powodziło im się, jak nigdy. Bóber kręcił z zadowoleniem zadartym, małym nosem. Żuber ruszał zabawnie przydużymi, odstającymi uszami z zadziwiającą techniką. Podnosiły mu się i opadały w czarodziejski sposób. Tym kształtem dwaj obywatele Targówka objawiali swe dobre samopoczucie.

Ów koncern węglowy Bóbra i Żubra trwałby chyba do końca wojny, gdyby nie wypadek.

Oto podczas takiej jednej eksploatacji Bóber trafiony został kulą w tę praktyczną część ciała, która służy do siedzenia.

I to właśnie nie tyle bolało Bóbra, co martwiło, bowiem żaden z bohaterów sławnych, o których czytał w książkach, lub których widział w kinie, nie był ugodzony w tak kompromitującą okolicę.

Gdyby nie Żuber, Bóber zginąłby jak mucha w niemieckiej marmoladzie. Tęgie barki Żubra i ciemna noc uratowały Bóbrowi życie.

Bóber tego Żubrowi do końca życia nie zapomni.

Niebawem nadarzy się wypadek, w którym z kolei Bóber odegra rolę bohatera, a Żuber ofiary.

II

Straszna groza szalała nad Warszawą i Pragą.

Niemcy mszcząc się za to, że Warszawa nie kapituluje, wyprowadzą wszystkich mężczyzn z Pragi od lat 16 do 60 jako zakładników do różnych miejsc kaźni, pracy, obozu. Jak kto trafił.

I Żubra wraz z tysiącami tylu innych spędzono pod cerkiew, na Zygmuntowską, skąd umęczony pochód pójść miał w tragiczne Nieznane.

Bóber, jako że nie miał lat i był niedużego wzrostu, nie podlegał ewakuacji. Żuber znacznie wyższy, choć nie wiele starszy, krzepko zbudowany, podejrzanie Niemcom wyglądał.

Nie wierzyli „kennkarcie" i zagarnęli chłopaka, nie zwracając uwagi na protesty i lament matki.

Tym razem Żuber nie wywinął się z rąk esesmanów.

Zły los rozdzielił dwu dobrych przyjaciół.

Siedzi więc Żuber pod cerkwią na kamieniu sam, bez Bóbra. Siedzi smutny.

Słońce leje ogniem. Spiekota.

A tam w górze, warkot bombowców.

Warszawa w kłębach dymu i ognia. Na placu gęstwa narodu. Tysiące i tysiące. Walizki, tobołki, zawiniątka.

Cała pośpiesznie zebrana nędza.

Siedzi Żuber z głową opuszczoną, siedzi i medytuje. Żandarmi biegają jak psy, a dookoła — maszynki i rozpylacze.

Wtem znienacka ktoś Żubrowi gwałtownym ruchem ręki zwala czapę na ziemię.

Obraca się Żuber i — aż go zatkało.

— To ty tu!

— Jak ty tu, to i ja tu!

Był to Bóber.

— Szoruj, pętaku, do domu!

— No, bez pętaków — obruszył się Bóber.

I nic już więcej nie mówili ze sobą. Bóber nie ruszył się z miejsca, wbrew ponowionym protestom Żubra.

Pozostał z nim razem na dolę i niedolę.

Po kilkunastu godzinach denerwującego czekania cały ten łan ludzkiej niedoli zakołysał się i, poderwany ochrypłymi okrzykami żandarmów, ruszył przez most Kierbedzia w kierunku Ogrodu Saskiego i szedł aż na Dworzec Zachodni, skąd wagonami towarowymi na Pruszków i dalej a dalej rozproszył się po piekłach niemieckiego okrucieństwa.

Warszawę masakrowały bombowce, ale powstanie paliło się jeszcze buntu ogniem.

A oni szli i szli w kurzu i pocie z wyschniętymi od pragnienia gardłami.

Żuber, patrząc na dogasające bohaterstwo Warszawy, zagryzł usta i ścisnął Bóbra za rękę, aż ten syknął.

Szli w milczeniu. Każdy z nich żuł zemstę.

Nad stolicą jęczały ponure organy niemieckich bombowców, rzygając krwotokiem ognia i żelaza.

Łubudu — łubudu! — stękała ziemia.

Nad Warszawą pociemniało.

Tylko wzniesione ramiona wież kościoła Świętego Krzyża raz po raz buchały czerwienią, jak pochodnie wśród dnia, który dla Warszawy był nocą.

III

— Na, nu polnische Schweine — schnell, schnell! — ryczy na olbrzymim dziedzińcu obozu nalany sadłem oberscharführer.

„Kapusie" zganiają, kopiąc i popychając przeżarte strachem zbiorowisko w długi szereg.

Z trudem to idzie. Wreszcie wydłużyła się nieszczęśliwa kolumna piątek. Nasza piąta kolumna w kolumnie piątek.

Nastała cisza, a w niej pada gardłowy głos tłumacza obozowego:

— Szewcy! Wystąpić!

W szeregu uczyniło się zamieszanie. Przed frontem stanęło niezdecydowanie kilku mistrzów kopyta.

— Krawcy! wystąp!

I znów poruszenie. Żuber i Bóber patrzą na siebie i komunikują się oczyma.

— Te, a może się podać za szewca? — trąca Bóber Żubra.

— Głupiś, poczekaj.

— Drukarze, dziennikarze, wystąpić!

— Toć my gazety sprzedawali, a może tak?

— Mówię ci — głupiś, poczekaj — odparł Żuber.

I znów w gromadę uderza ten sam obmierzły głos.

— Kolejarze! wystąp!

— O, teraz nasz fach, my przecież na kolei bylim zatrudnieni. Przy węglu, no nie? — trącają się łokciami.

— Pracowalim! — potwierdził powolnie Żuber, i nie namyślając się, obydwaj wystąpili przed front.

W ogólnym zamieszaniu nikt nie zauważył tych dwóch osobliwych specjalistów. Gdyby takich kolejarzy było więcej, na pewno zapas paliwa na kolei niemieckiej zmniejszyłby się do katastrofalnych rozmiarów.

Toteż przy bliższych oględzinach i badaniach dwaj niefortunni fachowcy byli zdemaskowani, a od pobicia i kary uchroniło ich dość przytomne tłumaczenie się, że ich ojcowie pracowali na kolei, przeto myśleli, że to się stosuje do ich rodzin, przy tym Żuber tak zabawnie puścił w ruch swoje ruchome duże uszy, że Niemiec trząsł brzuchem z uciechy, tak mu się to podobało.

Takim sposobem rozładowała się pełna napięcia atmosfera.

Przydzielono ich do grupy niefachowców, których załadowano w wagony i wysłano za druty, do obozu. Mieli być zatrudnieni przy budowie koszar. Nosili cegły, piasek. Nieskomplikowana, lecz ciężka ta praca wymagała siły, a tu odżywianie słabe.

Żuber, jako silniejszy, dawał sobie radę. Bóber opadał z sił. Więc Żuber nieraz robił za dwóch.

Bóber to widział i nie wiedział, jak się przyjacielowi odwdzięczyć. Ambicja jego cierpiała, że już drugi raz jest dłużnikiem, boć Żuber go od śmierci wyratował i teraz go ratuje w pracy.

Myślał, myślał i nic wykombinować nie mógł. Ale często przypadek człowiekowi jest pomocny.

Było to zimą. Mimo trzaskającego mrozu murowano jakieś składy na amunicję i koszary dla wojska.

Armia niemiecka już się wycofywała pod naciskiem wojsk radzieckich. Dowództwo niemieckie przygotowało tyły na przyjęcie swych wojsk.

Z dniem każdym popłoch wzrastał. Co dzień, omal co godzina przyjeżdżał komendant obozu i wśród przekleństw i bicia popędzał robotników.

A robota się rwała, bo brakło to cegły, to znów cementu.

I wody w okolicy nie było, a pompa często się psuła. Wtenczas cała praca murarska stawała. Zanim pompę naprawiono, upłynęło sporo czasu.

Kierownik robót, Hans Kierwiński, wściekał się, pienił. Był to renegat polski. Przeszedł na volkslistę i chciał się Niemcom przypodobać.

Gorliwość jego w wykonaniu pracy, w dozorowaniu robót była nadzwyczajna; dwoił się i troił, sam chwytał za kielnię, biegał tu i tam i zawsze drżał, gdy komendant obozu przyjeżdżał na inspekcję.

Ów Hans nigdy nikogo nie pochwalił, zawsze mu czegoś mało, zawsze robota szła powoli. Gdy dojrzał, że któryś z robotników stoi, nie rusza się zbyt pośpiesznie, dopadał każdego, kto mu się pod rękę nawinął i bił, kopał w jakimś zapamiętałym szale.

Hans był tego dnia czegoś nieswój. Komendant obozu zapowiedział, że prawe skrzydło gmachu ma być wykończone na jutro i że on przyjedzie sprawdzić.

I przyjechał. Przyjechał tak niespodziewanie i w tak złą godzinę, że akurat pompa się zepsuła.

Na próżno murarze krzyczą: Wasser, woda — Wasser, a wody nie ma. Komendant rozjuszony zdzielił bykowcem przez łeb samego Hansa, wpadł w tłum robotników, pluł, kopał, bił, szalał, cały na twarzy czerwony, o mało mu te przekrwione, wyłupiaste oczy z orbit nie wyszły.

Odjechał, zapowiadając, że jeżeli do jutra robota nie będzie wykończona, co trzeciego więźnia każe rozstrzelać za sabotaż.

Po odjeździe swego szefa Hans wpadł w furię.

Zbadano przede wszystkim pompę, za którą był odpowiedzialny Żuber, on bowiem był głównym dostawcą wody dla murarzy.

Badania dały nieoczekiwany wynik. Wąż, którym sączyła się woda z filtrów, w dwóch miejscach był przecięty.

Sabotaż. Żuber będzie odpowiadał.

Żuber oczywiście się wypierał, ale on istotnie wąż uszkodził.

Dlaczego to zrobił, sam dobrze nie wie. Chyba tylko z nawyku robienia Niemcom na złość.

Do tego czynu popchnęło go, być może, i uczucie zemsty, gdyż dnia poprzedniego Hans za jakieś błahe przewinienie pobił go tak dotkliwie, że jeszcze teraz odczuwa ból w kościach.

Ma teraz satysfakcję, bo dostało się foksowi od komendanta, ale satysfakcja ta drogo go będzie kosztowała.

Żubra aresztowano z miejsca i zamknięto w bunkrze.

Jutro go odstawią na śledztwo do gestapo w Chojnicach.

Dla Żubra nie ma już ratunku.

Bóber całą noc przeleżał na pryczy z otwartymi oczyma. Nie spał. Myślał. Sto miał sposobów ratunku Żubra i wszystkie sto były na nic.

Bóber był bliski płaczu. Już nie zobaczy przyjaciela. Lecz nagle, już nad ranem, myśl jego oświetliła jakaś błyskawica.

Tak, nie opuści Żubra. Ucieknie. Pojedzie za nim.

Wiadomo było, że jutro rannym pociągiem odstawią Żubra do więzienia.

W głowie Bóbra plan szybko dojrzał.

Jutro, skoro świt, jedna grupa pracowników udaje się, jak zwykle, na dworzec wyładowywać cement.

Bóber przyłączy się do tej ekipy.

I tak się też stało.

Rano, gdy ustawiono się w szereg, Bóber zręcznie manewrując w ciemności, znalazł się w grupie, która szła na kolej.

Znosząc worki z cementem, raz po raz spoglądał z niepokojem ku budynkowi dworcowemu.

Na stacji był dość znaczny ruch. Pasażerowie się schodzili. I tej okoliczności Bóber rad był wielce. To mu będzie osłoną w jego taktyce.

Naraz Bóbra coś tknęło. Wysila wzrok, patrzy, tak — to Żuber idzie, konwojowany przez żandarma, z rękami związanymi w tył.

Idą i szybko wsiadają do ostatniego osobowego wagonu, poza którym były doczepki towarowe.

Bóber udał, że idzie do ustępu. Ciemności poranku go cieszyły.

Nie spostrzeżony przez nikogo, obleciawszy pociąg z drugiej strony peronu, jednym susem znalazł się na towarowej przyczepce. Odbyło się to wszystko z taką cyrkową zręcznością, że aż chłopak sam się do siebie zaśmiał:

— Dobra nasza, trzymaj się, Żuber, nie bój się, ja z tobą.

Żuber już się nie bał. Półżywy od pobicia, ledwo że siedział w wagonie przy żandarmie, mocno zmieniony i zbolały.

Bóbrowi chwile oczekiwania do odjazdu pociągu zdawały się wiecznością.

Wreszcie pociąg ruszył.

Bóber jechał, jechał i właściwie nie wiedział, co z tego wyniknie i jaki obrót weźmie sprawa.

Wiedział tylko jedno: musi iść za Żubrem, że nie wolno mu go opuścić w najcięższej chwili.

Dzień ten wszakże był dla Bóbra pomyślny.

Raptem, ni stąd, ni zowąd, gdy pociąg dojeżdżał do Chojnic, na niebie ukazała się eskadra alianckich samolotów.

Ich warkot zdał się Bóbrowi przecudowną pieśnią chórów anielskich.

Pociąg stanął w polu.

I nie rozlatuje się szybciej stado kuropatw, jak rozlecieli się po polu przerażeni w wagonach Niemcy.

Bóber nie drżał. Bóber nie krył się. Bóber swym rysim wzrokiem wypatruje tylko żandarma i Żubra.

Dojrzał ich. O, — leżą tam, w tym małym zagajniku.

Żandarm nie puszcza Żubra. Służbista.

Ale Bóber znajdzie na to radę.

Maskując krycie się, ogląda się za ciężkim kamieniem.

Jest. Chwyta go. Sam nie wie, skąd mu przybywa siły i skąd tyle biegu w nogach.

Nieprzytomny prawie, w jakimś natchnieniu zemsty, jednym susem zaskoczy z boku, gdzie leży żandarm, i celnym ciosem w głowę tak go ogłusza, że ten tylko stęknął, nie wydawszy głośniejszego okrzyku.

A w górze skrzydlaci aniołowie wybawienia.

A tam, hen, na horyzoncie czerwień pożarów.

* * *

Bóber i Żuber są już daleko, daleko w pomorskich borach.

Dalsze ich dzieje, to dzieje pomorskiej partyzantki i dzieje

zwycięskiej Dywizji Kościuszkowskiej, która w przymierzu z Armią Czerwoną szła szerokim zagonem na Berlin, do tego legowiska zwierza, który nie znając litości, sam teraz rzęził o litość.

* * *

Żuber i Bóber wrócili do Warszawy dopiero po powrocie z Berlina, dźwigając na piersiach bojowe odznaczenia.

Gdy koledzy z Targówka pytali Żubra, za co dostał order, odpowiadał, wydąwszy usta:

— Za Berlin!

Na co Bóber, stukając Żubra w czoło, rzecze:

— Idiota, za Warszawę.

To mówiąc, włożył dwa palce w usta i gwizdnął przeciągle, a Żuber na to zawył, jak syrena alarmowa, puszczając z zadowoleniem w ruch swe duże, śmieszne uszy, chodzące mu posłusznie, jak na zawiasach.

JANKO... RYZYKANT

Miał lat 6 ten Janek. Nie więcej. Chyba nawet mniej. W każdym razie był grubo młodszy od „Janka Muzykanta".

Od niego samego w tej materii nic pewnego dowiedzieć się nie mogłem. Reprezentował bowiem ten okres życia, w którym lata się nie liczą. Są jeszcze nieważne, takie pisklęce lata. Nawet nie szczenięce.

Niedożywiony. Ot, zwyczajnie, małorolnych rodziców dziecko. Całym bogactwem licznej rodziny była krowa z jałówką.

Ojciec chlał i bił żonę z chłopskiego kaprysu. Była słabowita, chora. Pewnie bił za to, że chora.

W domu obowiązkowo co rok zjawiał się prorok. Rodziła jak ziemia. Z czworga drobiazgu Janek był najstarszy.

Poznałem Janka któregoś tam roku okupacji. Zimą to było. Wielgachny śnieg przygniatał pola, drogi. Na dworze ciskał się wiatr, jak zły pies na uwięzi. Kąsał, kłuł szpilkami lodowatego śniegu. Nie wychodziłem z chaty tygodniami.

Nie z przyczyny mrozu. Żandarmi!

Ukrywałem się wtenczas, jak wielu, wielu innych. Musiałem się skazać na domowy obóz koncentracyjny.

Janek, jakąś niepojętą mi dotąd intuicją, wyczuwał niewygodę mej pozycji. Był mi łącznikiem ze światem. Przynosił gazety z miasteczka. Na jego dyskrecję mogłem liczyć.

Dziwna rzecz, jak wielkie miałem do niego zaufanie. Bywa ono często podświadome.

Janek przychodził do mnie za dnia i wieczorami. Opowiadał, siorbając nosem, co się na wsi i w jego chacie dzieje. Obdarzony był wyostrzonym zmysłem spostrzegawczym. Gdy starsi rozmawiali, na boku niby coś majstrował, ale chytrze wchłaniał uszami mowę starszych.

Stąd jego nieoczekiwane, ni przypiął, ni przyłatał, przemądrzałe zwroty.

Gramolił mi się często na kolana, nie pytając o pozwolenie i zmuszając do pokazywania sobie obrazków z książek, ilustracji z gazet.

Jego duże, pełne zadumy oczy, koloru modraka, zasłaniał tyleż oberwany, co i sfatygowany latami ojcowy kaszkiet.

Czapki, zwyczajem chłopskim, w izbie nie zdejmował. Chodził z rękami w porciętach, zawsze ważny, uroczysty, taki gospodarski.

Książkę z obrazkami oglądaliśmy już nie wiem po raz który. Był to jakiś stary rocznik „Płomyka". Janka ciekawiło w nim wszystko.

— A co to? Pokaż! — nalegał.

Janek mówił mi „ty". Janek wszystkim mówił „ty". Od tej jego poufałości nie obroniłyby mnie nawet fiolety arcybiskupie, gdybym je nosił. Kto go tam rozwijał? Kto o nim pamiętał?

Zauważyłem, że z chłopcami ze wsi mało przestawał. Tyle tylko, ile konieczność wymagała. Taki był z tego malca wielki samotnik. Bawił się sam.

Prawda, nie sam, z Kruczkiem. To było jego towarzystwo, to był jego świat. Z Kruczkiem nawet jadał często pod stołem. Kruczek go nigdy nie skrzywdził.

Janek miał jedno nadzwyczajne upodobanie. Lubił wycinać obrazki i przyklejać je na ścianie.

Nie wiem, skąd u niego się wziął ten popęd do sztuki dekoracyjnej.

W wyniku obserwacji schowałem nożyczki, bo Janek tego „Płomyka" w mojej nieobecności idealnie by wykończył.

— Janek, a kochasz ty ojca? — zagadnąłem go któregoś dnia ni z tego, ni z owego.

— Nu!...

Z początku nie mogłem się domyślić, co owo „nu“ miało oznaczać, Janka „nu“ wyrażało wszystko: i tak, i nie, potwierdzenie i powątpiewanie, zdziwienie i pewność siebie. W tym „nu“ zamykał się cały jego świat myślowy. Był to skrót jego uczuciowego życia.

— Janek — pytam — co ty chcesz przez to „nu“ powiedzieć?

— Nu, ni, stary pijak.

— A ciebie bije?

— Nu.

— Boisz się go?

— Nu, ja bym mu dał w niucha!

Mówiąc to, Janek ściska nożyczki w ręku.

— Toś ty widzę ryzykant.

— Nu?!

Na to wspomnienie Janek wierci się na kolanach niespokojnie. Ojciec bije go często.

Malca zatrzymywałem nie raz na noc u siebie. Było mu dobrze w ciepłej atmosferze naszej przyjaźni. Jak mógł, okazywał mi swe przywiązanie.

Gdy był nalot żandarmów na wieś, przybiegał do mnie zdyszany.

— Schów się, ziandarmy!

Gdy było po nalocie, oznajmiał z triumfem, jak by to się stało za jego sprawą:

— Te, nie bój się, pojechali.

I gramolił mi się na kolana. Brał nożyczki, rozkładał „Płomyka“ i zamęczał mnie pytaniami:

— Nu, a co to? A to co?

Nie mogłem być niewdzięczny. I w nagrodę musiałem od początku obrazki te pokazywać i objaśniać już nie wiem po raz który.

Słuchał, słuchał, patrząc mi w oczy, a gdym się odwrócił czy odszedł na chwilę, chlast, chlast nożyczkami.

Łatwo sobie wyobrazić, jaki żałosny strzęp przedstawiała ta książka. Gdym go zawstydzał, że robi to samowolnie, bez mej wiedzy, obiecywał poprawę.

Miał wielką uciechę, gdym mu pozwalał manipulować nożyczkami. Przejrzawszy ilustrowane pisma niemieckie, dawałem je na pastwę Jankowi. Dopiero sobie używał. Nic go od tej pracy oderwać nie mogło. Gdym go straszył ojcem, stawiał się:

— Nu, ja mu dam w niucha.

I z niezmąconym spokojem wycinał samoloty, okręty i tapetował ściany. Pozwalałem mu na to. Estetyka wnętrza i tak na tym nie ucierpiała.

W całej tej robocie Janka uderzył mnie jeden szczegół ciekawy. Wycinając starannie drobnymi rączkami obrazki, malec nigdy nie wyciął i nie powiesił mi na ścianie Hitlera. Gdym Janka zainterpelował o powód tego, rzekł z powagą:

— Nu, ja mu dam w niucha!

I dawszy mu pstryka palcem w nos, pociął kanclerza Trzeciej Rzeszy w drobne kawałki.

Tak nam schodziły wieczory i dni. Żegnał się nieraz ze mną w późną noc, a żegnał się w osobliwy sposób.

— Nu, już trza iść, żeby stary drań matki nie pobił.

Poważny, stateczny znikał za drzwiami.

Wychodziłem za nim do sieni otworzyć drzwi, bo z klamką nie mógł się uporać.

Któregoś zimowego ranka — dobrze pamiętam — kalendarz patrzał na mnie smutną, czarną datą 13 stycznia.

Na dworze leżała nieruchoma, biała cisza mrozu. Janek wali do sieni bardziej nerwowo niż zwykle. Wpuszczam go.

— Co ci jest?

— Te, pst-pst, cicho — szepce, kładąc palec na ustach—schów się, ziandarmy!

I znikł szybko, jak przybył.

Nerwami więcej niż wzrokiem widziałem we wsi jakieś niecodzienne poruszenie.

Schowałem się na poddaszu domu, wśród rozmaitych rupieci. Do uszu moich dochodzą coraz bliższe gardłowe głosy, krzyki.

Domek stał prawie przy drodze. Przez szczelinę w szczycie domu widzę żandarmskie mundury. Trzech ich było. Jeden z nich opasły coś sołtysowi pod nosem wygraża i drze się. Soł-

tys blady, niby kreda. W opłotkach stoją baby. Psy podnoszą swój zaciekły lament. I Kruczek też solidarnie ujada na drodze. Nagle strzał! Nie ma już Kruczka. Kruczek już nie będzie szczekał na Niemca. Żandarm zamknął mu pysk na zawsze. I widzę Janka, jak podejmuje z ziemi Kruczka. Biedny Kruczek, lecz jeszcze biedniejszy Janek. Stracił przyjaciela.

I potem nastał nieżywy spokój. Przeszli. Czuję, jak w mym sercu tłok ssąco-tłoczący pracuje z podwójną energią: raz — raz! raz — raz!

Schodzę z góry na dół. Znów rumot w drzwi. Co to?

Otworzyć, nie otworzyć? Stało się! Nie otworzyć, gorzej. Otwieram.

Ale to był Janek — smutny Janek! Przyszedł po szpadel. Swemu Kruczkowi chce sprawić pogrzeb.

Sądziłem, że płacze. Zadzieram mu tę nieszczęsną czapkę do góry i patrzę w oczy. Naprawdę, nie płacze.

— Janek, co, poszli?

— Ni, schów sie, przyńdą po krowę. Schów się ino dobrze — napomina. A po chwili frasobliwie:

— Mlika nie będziewa mieli. Matka leży i dzieciakowi z piersi ni ma co dać. Stary „zachlany". Schów się, ino schów się dobrze.

Poszedł i już nie przyszedł.

Już Janek nigdy, siorbając nosem, w nasuniętej na oczy czapie, nie przyjdzie do mnie...

* * *

A było to tak: żandarmi przyjechali po kontyngent. Już poczuli sowiecką ofensywę. Przygotowywali się do ucieczki; spędzili ze wsi bydło przed sołectwo. Krowy stały przywiązane do sztachet. Sami poszli do sołtysa na tłuste śniadanie, zagrzać się wódką. Będzie to już ostatnia ich „wałówka".

Baby polamentowały i, rozpędzone strzałami na postrach, skryły się po chatach.

Nie uciekł tylko Janek. Wypatrzył stosowną chwilę, gdy nikt nie widział, spuścił z łańcucha ojcową Granulę, a ta czując wolność, w napadzie krowiej radości, zadarłszy ogona, pogalopowała jak szalona do domu.

Podjadłszy sobie kosztem wsi, żandarmi wyszli na dwór. Jeszcze raz liczą, liczą. Brak krowy.

Sprawa się wnet wyświetliła. Nikt, tylko Janek to zrobił.

Niemcy, nie wdając się w długie śledztwo, za karę ogołocili wieś z całego dobytku. Gospodynie pomstowały, na czym świat stoi.

— Widzita go, bękarta, jaki to rezykant, pętaczyna boża!

Zbity przez żandarmów ojciec Janka, stłukł z kolei swe dziecko na kwaśne jabłko. Zbił bez Boga. Czy Janek płakał — chyba nie!

* * *

Na trzeci dzień Janko ryzykant nie żył. Nikt po nim nie płakał, nikt go nie żałował.

Ważniejsze były sprawy, szły ważniejsze dzieje.

Kruczek nie zawył na jego mogile, nawet ja, jego drugi przyjaciel, tej cmentarnej rei Jankowej grudką ziemi pożegnać nie mogłem.

I pogrzeb Janka był cichy, taki samotny, prawie nijaki.

Obniosło dookoła śniegiem.

Świat stał się szary, popielaty.

MACIERZYŃSTWO AZY

Aza miała piękną starość. I gdyby nie okupacja hitlerowska, może by miała także piękną śmierć na wygodnym dożywociu u nadleśniczego w ślicznym zakątku lasów ciechanowskich, Zalesiu.

Rasowa ta wyżlica o lśniącej biało - żółtej sierści, długich uszach i melancholijnie a roztropnie patrzących oczach, zażywała w bliższej i dalszej okolicy zasłużonej reputacji w swym wyżlim zawodzie.

Żaden z wyżłów nie wystawiał tak kuropatw, nie podchodził dzikich kaczek, nie tropił zająca, jak ta, kilkakrotnie premiowana na wystawach psów, wyżlica. Miała kilka najwyższych odznaczeń.

Nawet w okresie przymusowego bezrobocia w czasie okupacji — gdyż leśniczemu Niemcy zabrali flintę i polować Polakom pod karą śmierci było wzbronione — Aza nie zapomniała pola.

Ilekroć wyjdzie z panem w las, na ugory, na drogi, czując swym wyostrzonym węchem robotę, przystaje, ogląda się mądrze a pytająco na pana.

Gra w niej instynkt nabyty w tylu psich pokoleniach, przyuczonych do myślistwa.

Ale Aza ze smutkiem spostrzega, że jej pan nie ma strzelby myśliwskiej, więc wyżlica kręci swym puszystym ogonem i wraca ze spuszczoną głową do nogi.

A tu tyle zajęcy, takie mnóstwo kuropatw.

Aza niekiedy zapomni się, zwłaszcza gdy spod krzaka wyrwie się przestraszony szarak,

Pędzi wtenczas za nim jak strzała, łapami ziemi nie dotykając.

Opamięta się w porę, zawraca i całą swą wściekłość wyładowuje szczekaniem na stada wron, które obsiadają sterty i stogi, rozwłócząc słomę po polu.

Aza nienawidzi tych złodziei gospodarskiego dobra. Gdyby ich nie przepędzać, rozebrałyby przecież stóg do naga.

Kra - kra - kra. — Ten wroni szwargot ogromnie irytuje wyżlicę. Słysząc to zmawianie się czarnego ptactwa na szkodę człowieka, Aza rzuca się jak oszalała, to szczekając swym dźwięcznym barytonem, to skomląc przeciągle.

Ale „gapy", jak lud na Mazowszu nazywa wrony, nie są znów takie gapy. Miarkują dobrze, że pies skrzydeł nie posiada, że zmęczy się szczekaniem, więc na razie, udając przestrach, całą czarną chmurą odlatują, pozostawiając na miejscu wronę - obserwatora.

Ten obserwator siada na pobliskiej wierzbie czy sośnie lub gdzieś na dachu i bada sytuację.

Aza zna się na tych wronich sztuczkach i, stanąwszy na zadnich łapach, obszczekuje drzewo, bez powodzenia usiłując się wdrapać na jego wierzchołek.

Ta bezsilność psuje Azie wszystką krew. Dopiero na wołanie pana wraca posłusznie do domu.

Gdyby nie to, przesiedziałaby pod drzewem noc całą i cały dzień.

Aza jest stanowcza, uparta i obowiązkowa.

Leśniczy jednak rzadko bierze ją ze sobą w pole, odkąd Niemcy zagięli parol na psy.

Skrupulatna statystyka niemiecka wyliczyła, ile jest psów w każdej gminie, w powiecie, w okupowanych krajach, w całej Rzeszy.

Tyle i tyle milionów, tyle i tyle ton zjedzonego chleba, kartofli.

Żandarmi wypowiedzieli wojnę psom. Każdego spotkanego w polu czy w mieście oczekiwała śmierć od kuli.

I na Azę był zamach, ale szkop - fuszer spudłował.

W ten sposób legło wiele psiego rodu, a odebrany psom chleb miał wzmocnić szansę niemieckiego zwycięstwa.

Aza organicznie żandarmów i gestapowców nie znosi. Rzekłbyś, że nawet cywilnego folksdojcza wyczuje na kilometry.

Gdy wybada węchem, że zbliża się do Zalesia bryczka z żandarmami — a przyjeżdżali dość często, po gęsi, masło, jaja — daje znać państwu wyciem, że się zbliża wróg, a potem, skuliwszy ogon, zaszywa się w najciemniejszy kąt stodoły.

Aza posiada szeroką skalę głosu, wyrażającą różne odcienie stanu uczuciowego.

Inaczej brzmi radość, innym głosem trwoga; złość i niechęć wypowiada krótkim, urywanym ujadaniem.

Przed Azą całe gospodarskie obejście ma respekt ogromny. Niech tylko krowa nie chce wejść do obory, Aza ją nauczy moresu.

Mimo dość podeszłego wieku zęby ma mocne i ostre, a przy tym zna anatomię krowiego ciała, wie, gdzie się mieści jej pięta achillesowa.

Z własnej inicjatywy przepędzi prosięta, robiące szkodę w ogrodzie. Ba, nawet gdy kokoszki lub indyki poczubią się, wpada między nie i uśmierza zacietrzewione ptactwo.

Krzywdy jednak nikomu nie zrobi. Nie lubi tylko pana Twardowskiego, tak bowiem gospodyni nazywa wielkiego, rasowego koguta.

Tego Twardowskiego — całego w pąsach, z wielkim, czerwonym półokrągłym grzebieniem na czubie i z puszystym ogonem w kształcie znaku zapytania — Aza — nie wiedzieć dlaczego — znieść nie może.

Ot, uprzedziła się do niego i tyle. Gdy się kogut zbliży do leśniczówki, Aza udając, że śpi, jednym okiem wypatruje stosownej chwili i znienacka — hop na Twardowskiego.

Biedny kogut, cały pyszny ogon ma już w strzępach.

Toteż Twardowski obchodzi leśniczówkę z dala, a gdy w podwórzu dojrzy wyżlicę, cały w trzepotach alarmuje kurze stado: Kud-kuda, kud-kuda!

Niepotrzebnie zresztą, bo kur, a nawet tego Twardowskiego w podwórzu Aza nie zaczepia, jest bowiem spokojna, opanowana, taktowna, ale ma swoje grymasy, chimery.

O człowieku z takim charakterem powiedziałoby się, że jest dobrze wychowany, z dobrymi manierami.

Azę, oprócz koguta, lubią wszyscy czworonożni mieszkańcy stajni, chlewów, obory. Ze wszystkimi żyje w przyjaźni.

Gdy konie wracają z pola czy z drogi, Aza obwąchuje przyjaźnie ich pyski; gdy krowa leży zmęczona skwarem na pastwisku i nie może odpędzić od oczu natrętnych owadów, Aza łapą i mlaskaniem wystrasza je. Na każdym kroku jest ten pies usłużny.

— To nasza pomocnica domowa w podwórzu! — mawia często gospodyni.

A leśniczy nieraz w chwili wypoczynku, w rozmowie z sąsiadami, filozofując na tematy społeczne, kończy sentencją:

— Człowiek jest niewdzięczny, najgorszymi przezwiskami, jak: psia krew, ty suko — obdarza jednego z najlepszych, najwierniejszych przyjaciół człowieka.

Naprawdę, mądry był ten ktoś, który powiedział, że im więcej obcuje się z ludźmi, tym bardziej ceni się psa.

Aza więc wzrastała w leśniczówce od dzieciństwa w serdecznym klimacie. Lubiły ją dzieci, a ona je obdarzała sympatią, ba — przywiązaniem.

Gdy chłopcy wyjeżdżali po wakacjach do szkół, Aza traciła na humorze, na apetycie nawet. Potrafiła dwa i trzy dni nie ruszyć jadła.

Gdy leśniczy wybierał się w drogę, Aza wiedziała już po ruchu w stajni, że trzeba pilnować i swego pana odprowadzić.

Dopiero na dobrym drugim, czy trzecim kilometrze wracała do domu, gdy jej pan powiedział: Aza! Do domu!

Była posłuszna. Nawet konie wykręcały wtedy swe szyje i oczyma przeprowadzały przyjaciółkę do domu.

Ale największa przyjaźń łączyła Azę z kocicą, a właściwie z jej kociętami.

Tej przyjaźni niezmiernie dziwowali się ludzie.

„Żyją, jak pies z kotem" — a tu pies z kotem żyją lepiej, aniżeli człowiek z człowiekiem.

Bo co to się nie działo w leśniczówce, gdy kocięta podrosły i zaczęły biegać.

Latem na werandzie lub na trawie, przed klombem, w piasku wygrzewa się na słońcu Aza, a tu wokoło niej baraszkują kocięta: targają Azę za uszy, ciągną za puszysty ogon, włażą na kark, przeskakują przez plecy. A wyżlica nic, z niezmąconym spokojem znosi cierpliwie wybryki kociego plemienia.

Aza najwidoczniej jest zadowolona. Tego i owego kociaka poliże, innego delikatnie skarci łapą, a gdy ten coś zbroi, burknie dla postrachu. Słowem, odgrywa rolę niańki.

Bo właśnie kocica całymi dniami na robocie w polu.

Zalesie nawiedziła plaga myszy. Kocica poluje, to jej żywioł, to jej sport.

Tyle tylko, że przybiegnie nakarmić maleństwa i hajda w pole.

Kocica wie, że jej dzieci są pod dobrą opieką.

Zresztą Aza dba, żeby małe nie były głodne.

Utarł się bowiem w tym czworonożnym towarzystwie zwyczaj, że rano, w południe i wieczór, gdy gospodyni idzie ze szkopkiem do doju, Aza, jak matka, prowadzi w ślad z dumą swych wychowanków, a te miaucząc i podskakując napraszają się na miejscu ciepłego napoju.

Dzień w dzień z zadziwiającą punktualnością odbywa się ta procesja łakomczuchów.

Aza nie pije mleka, ona nawet do swojej misy nie broni kociakom dostępu.

A te koty strasznie łapczywe na mleko.

Raz to jeden z nich o mało nie przypieczętował tej wady swym życiem.

Było to tak. Na werandzie, pod oknem, stała niepełna konew mleka. Jeden z ciekawskich kociaków skoczył na okno, z okna zajrzał do konwi, wsparł się łapkami o nią, schylił łebek i... plusk do wnętrza.

Na całe szczęście Aza była na miejscu przytomna. Usłyszawszy rozpaczliwe miauczenie, skoczyła na ratunek.

Oparła się tak silnie o konew, że ta się przewróciła, a wraz z mlekiem potoczył się i kociak, cały zmoczony i cały mleczny.

Aza oblizała ofiarę łakomstwa, a wszystkie inne kocięta rzuciły się zlizywać mleko z podłogi.

I cała scena skończyłaby się pomyślnie, gdyby nie to, że gospodyni, widząc taki nieporządek, a podejrzewając o tę sprawkę Azę, wytłukła ją miotłą.

Aza bardzo cierpiała, bolejąc nad ludzką niesprawiedliwością.

Cierpienia te wynagrodziła Azie kotka, gdy wróciła wieczorem z polowania, niosąc w pysku dwie smaczne myszki, ledwo żywe ze strachu.

Jedną mysz złożyła w darze przed Azą, drugą dała kociakom do zabawy.

I scena ta powtarzała się z małymi przerwami codziennie.

Azie smakowały myszki. W tym dniu zmartwiona nie ruszyła jej. Pozwoliła swej myszy uciec, a nawet widząc, że zabawa kociąt z myszą zaczyna przybierać dramatyczny obrót, warknęła, że się kociaki przestraszyły, z czego skorzystała mysz i myk — wyślizgnęła się z koła.

Gdy Aza była w dobrym humorze, lubiła wspólnie z kocicą przypatrywać się z ubocza całej zabawie kociaków z myszą.

Tak mijały dni i tygodnie wesołego lata, pięknej jesieni.

Nastała smutna zima. Smutna dla Azy i dla całej leśniczówki.

Wieść o tej fenomenalnej wyżlicy dotarła do Gdańska. gdzie zamieszkiwał główny nadleśniczy dla całego Ost-West-Preussen.

Niemiec ów był zapalonym myśliwym i amatorem psów.

Pewnego zimowego, mroźnego poranka, ciszę Zalesia spłoszył zły warkot motoru.

Samochód zajechał niespodziewanie w chwili, gdy Aza wylegiwała się w izbie, na otomanie.

Aza u leśniczego korzystała z wszelkich domowych przywilejów.

Leśniczy żartując nieraz mawiał, że to czworonożny członek rodziny.

Bo jakże, wychowywała się w leśniczówce od szczeniaka z jego dziećmi. Była im prawie rówieśnicą.

Gdy Aza zwąchała niebezpieczeństwo, było już za późno.

Nieśmiałe protesty leśniczego, gospodyni, płacz chłopców, nie wchodziły w rachubę.

Bezwzględny Niemiec zapakował Azę w worek. Warczała, rzucała się biedna Aza, byłaby się cisnęła na żandarmów i gryzła, ale spojrzenie pana paraliżowało wszelkie jej ruchy.

— Cicho, Aza, cicho, uspokój się!

Aza uspokoiła się. Miała jakby łzy w swoich wielkich, zamglonych oczach. Ciężko tylko stękała.

Przeczuwała swój koniec.

Powieźli Azę do Gdańska.

Zalesie posmutniało. Smutne były kociaki, pusto zrobiło się w domu, na podwórzu.

Tylko może pan Twardowski cieszył się z nieszczęścia Azy, choć kto wie, czy się cieszył.

Co my wiemy o życiu uczuciowym zwierząt. Zdaje się, że uczucie zemsty jest im nieznane.

Mijały długie tygodnie.

Zima na dworze stała ostra. Śnieżyca zasypała świat. Szły mroźne fale wiatru. Ludzie odmrażali ręce, nogi. Wyruszał w drogę ten, kto musiał.

— Psi czas — mawiali ludzie! A leśniczy poprawiał:

— I psa żal na taką wiówę puścić.

W taki psi czas, nad ranem zawitała do Zalesia Aza, trzęsąc się z zimna, wychudzona, zgłodniała, niosąc delikatnie w pysku małe szczenię.

Leśniczy gdy to ujrzał, nie mógł opanować wzruszenia.

— Aza, chodź psina!

Ale Aza nie słyszy, biegnie do obory i w ciepłym nawozie składa swój macierzyński skarb.

— Aza, Aza! — biegnie za nią gospodyni, biegnie kocica, biegną kociaki.

Aza tym razem jest nieposłuszna. Położywszy swe szczenię, tym samym biegiem, jak wpadła na podwórze, rwie w pole, w zamieć.

Zziajana zjawiła się pod wieczór i znów z drugim swoim psim maleństwem w pysku.

10,-

Aza biegnie po raz trzeci. Próżno chcą ją złapać, żeby nakarmić. Próżno wołają najpieszczotliwszym zawołaniem. Azę nic nie wabi.

Ona wie swoje. Tam na mrozie, w polu, oszczeniła się i ratuje swe maleństwa od śmierci.

Takie jest macierzyństwo Azy.

Rozumna zwykle Aza, tym razem oszalała.

Za trzecim razem nie wróciła.

Padła z wycieńczenia w polu, obok pozostałych pod stogiem szczeniąt, zmarzłych na śmierć.

* * *

W kilka dni po ucieczce Azy z Gdańska generalny nadleśniczy, bawiąc służbowo w Ciechanowie, wstąpił do Zalesia.

— Jawohl, jawohl, to była mądra Hunda, taka fajna psa! — powtarzał w kółko.

Leśniczy milczał.

A mógłby przecież wspomnieć, że kocica z kociakami często zagląda do obory, gdzie Aza zostawiła swój macierzyński skarb.

Nie wspomniał też i o tragicznym Azy macierzyństwie.

Bo i po co...

LITERACKA

T. 2. Kłosowski J. N. — Serc

3. „ „ „ — Mgła — powieść osnuta na tle działalności Batalionów Chłopskich.

4. Gastiew A. — Czyn robotniczy

5. Pierwomajski L. — Życie

ROLNICZA BIBLIOTEKA LUDOWA

T. 2. Szczerbina F. — Praca w pasiece

3. Lipping i Chitenkow — Chów koni

4. Wiliams W. — Zasady uprawy ziem

5. Łupińska — Hodowla bydła

6. Łupińska — Karmienie bydła

7. Jensz N. i Doganowski M. — Maszyny i narzędzia rolnicze

8. Mołosow W., Skworcow J. i Czyżewski S. — Agrotechnika kultur polowych

9. Bobrowski J. — Hodowla świń w gospodarstwach mniejszych

10. Gumiński R. — Jaka jutro będzie pogoda.

POLITYCZNO-SPOŁECZNA BIBLIOTEKA LUDOWA

T. 2. Rek T. — Ruch Ludowy w Polsce (wydanie drugie poprawione i uzupełnione) z portretami działaczy ludowych, 2 tomy

3. Gójski J. — Strajki chłopskie

4. Bazylewicz — Rosyjska sztuka wojenna

5. Karpiński W. — Jak rządzą w Z. S. R. R.

MUZYCZNA BIBLIOTEKA LUDOWA

T. 1. Świerczyński A. — Melodie Tatr, ludowe pieśni Spisko - Orawskie i Podhalańskie na głosy z fortepianem

2. Ludowe Pieśni Słowiańskie: Słowackie, Serbskie, Chorwackie, Rosyjskie, Łużyckie, Bułgarskie, Czeskie itd.

3. Świerzyński A. — „Jeden Ton" na głosy z fortepianem

4. Świerzyński A. — „W krainie kwitnącej wiśni" na głosy z fortepianem.